

## Jan Maciejewski: Tercja. Niech zstąpi

O dziewiątej rano, kiedy Duch zstępuje między nas prawie jak Odys do Otchłani, przyjrzyjmy się dokładnie różnicy między tymi dwoma wtargnięciami. Bo to ona wyznaczy stawkę, o jaką toczy się gra podczas Tercji – pisze Jan Maciejewski w szóstej części cyklu „Godziny”. Autor przechodzi z Odyssem przez kolejne godziny Świętego Oficjum, od jutrzni do komplety. „Osiem przygód będących modlitwą, albo raczej osiem modlitw stających się przygodami. Ten sam obowiązek i namiętność – powrócić, skąd mnie wygnano i odzyskać, co utraciłem” – wyjaśnia swój zamysł.

Tercja – trzecia godzina, odpowiada naszej dziewiątej rano. Wtedy dzień wydaje się ruszać na dobre. Dzieci są już w szkole, otwierają się nasze ulubione kawiarnie, dzwonią pierwsze telefony, pierwszy rzut oka na „uzupełnioną” w ciągu nocy skrzynkę mailową. Nawet jeśli poranna modlitwa wypełniła umysł i serce pamięcią Innego Świata, to właśnie teraz, około dziewiątej, zostaje ona zepchnięta do głębokiej defensywy. Gdzieś tam może jeszcze się tli, ale jest tyle spraw do załatwienia „na teraz”, że przyszłość – ta najdalsza, najbardziej niepewna – musi poczekać.

Święte Oficjum zwalcza w nas, jak antybiotyki bakterie, ten właśnie odruch. Niedbały gest ręki, odsuwający wieczność na boczny tor, w najdalszy kąt biurka. Branie jej w ten sposób za coś, co dopiero się stanie, kiedyś tam przyjdzie albo i nie. Z wnętrza każdej spośród liturgicznych godzin dochodzi ten sam, cichutki głos: teraz, w tej chwili, DZIEJE SIĘ. Jednak w przypadku tercji, drugiej z „godzin mniejszych”, ale pierwszej wtrącającej się tak

bezpośrednio w nasz dzień, walczącej o swoje miejsce pomiędzy niecierpiącymi zwłoki sprawami do załatwienia, głos ten dochodzi szczególnie wyraźnie. To drugie, prawdziwsze życie, schowane pod warstwą codzienności, jak serce, nerki i płuca wewnątrz ciała, około dziewiątej rano przypomina z całą siłą o swoim istnieniu. To nie jest uprzejme chrząknięcie, dochodzące z końca stołu. Raczej wtargnięcie do środka mieszkania, wyważenie drzwi razem z futryną. Dziewiąta rano – to o tej godzinie Duch zstąpił na pierwszych chrześcijan. Tercja jest podmuchem, płomieniem ognia rozpalającego się tuż nad naszą głową. Teraz, w tej chwili.

Jan Maciejewski „Kompleta: Mąż i żona” (opowiadanie)

Jej hymn opowiada o tym, że nasze ciało – to wplątujące się właśnie i oplatane przez sprawy tego świata – bardziej niż czymkolwiek innym, ma być świątynią dla Ducha Świętego. I to nie jest metafora. W ogóle – to, co Liturgia Godzin robi ze słowami polega z grubsza na rozpraszaniu krążącej wokół nich mgły analogii i porównań. Jeśli gdzieś, w którejkolwiek z ksiązek i w jakichkolwiek z ust – słowa znaczą to, co znaczą, bezpośrednio i realnie, to właśnie tutaj. Psalterz jest jak przewodnik turystyczny po utraconym Raju – miejscu, gdzie dystans dzielący słowo od rzeczy równał się zeru, wszystko było jednym.

Jeśli ciało jest świątynią, to poza jej wystrojem i zewnętrznym pięknem, liczy się przede wszystkim to, by panowała w niej (w nim) cisza i spokój. Nie stanie się targowiskiem tylko pod warunkiem, że będzie posiadało jasno określone centrum – ołtarz, z umieszczonym na nim krzyżem. Targ jest miejscem dziesiątek stołów, przy których załatwia się jednocześnie wiele spraw. Świątynia ma służyć tylko do jednej.

Ale jest ona też miejscem, do którego zaproszeni są inni ludzie; zgodnie z tym Tercja opowiada również o miłości bliźniego. O tym, że mijając nas, stykając się na chwilę, dobrze by było, żeby mieli wrażenie, że przeszli chociaż przez krużganki świątyni. Że była w tym, może i nawet przypadkowym zetknięciu, jakaś inność. Coś nie z tego świata. Niektórych ten powiew z wnętrza świątyni (mieszanka zapachu murów i wżartego w nie już na stałe dymu kadzideł) uspokoi, innych – wręcz przeciwnie, wytrąci z równowagi. Ale to już nie nasza rzecz. Ten powiew ani do nas nie należy, ani od nas nie pochodzi. My tylko około dziewiątej rano otwarliśmy przed nim okna.

A Odyseusz, o tej samej godzinie, przybija do bram Królestwa Cieni. Tam, gdzie nigdy nie wstaje słońce. Gdzie nie ma dotyku, smaku ani zapachu. Gdzie wszystko jest ulotne jak dym na wietrze. Nawiedza jego mieszkańców ktoś, kto ma tylko do nich interes. Pozwala im na moment prawie – żyć, bo musi się od nich dowiedzieć kilku rzeczy: Którędy do domu? Jak umarła moja matka? Czy z żoną wszystko dobrze? Jak chowa się syn? Prawdziwy świat wtargnął pomiędzy cienie i mgły tylko po to, żeby podrażnić je swoją realnością. Zapachem ciała, brzmieniem głosu, ostrzem porastającej jego twarz brody. Tym, że tak bardzo wciąż jest, podczas gdy oni już prawie zapomnieli co to w ogóle znaczy.

O dziewiątej rano, kiedy Duch zstępuje między nas prawie jak Odys do Otchłani, przypatrzmy się dokładnie różnicy między tymi dwoma wtargnięciami. Bo to ona wyznaczy stawkę, o jaką toczy się gra podczas Tercji. Między przybyciem, które przypatruje i przysłuchuje się cieniom, a tym, co pozwala im patrzeć i widzieć. Między krótkim widzeniem w więzieniu niekończącej się niekonkretności, a otwarciem jego bram, zerwaniem kajdan. Odys tylko spróbował dotknąć swojej matki. Duch uczniów nie tylko dotknął, ale wypełnił sobą.

Jan Maciejewski „Już pora” - zamów książkę

\*\*\*

Jak mógłbym im odmówić? Tak wiele dla mnie zrobili. Przygarnęli do swojego domu, dali jeść, pić, ubrali, pozwolili odpocząć. W zamian chcieli niewiele – tylko opowieści, jedyne co ze sobą przywiozłem. Żyją z daleka od wojen i przygód, więc chcą o nich słuchać, jak mógłbym się temu dziwić. Nie widzieli, więc chcą usłyszeć. Skoro nie przeżyli, to żądają relacji. Tak po prostu. Więc dlaczego moja odpowiedź nie była równie naturalna?

Patrzyłem na ich zarumienione, wypolerowane spokojem twarze. Takie pełne, takie ludzkie. Czy zrozumieliby, gdybym zamiast opowieści poprosił o pocałunek? Nauzykaa siedziała tak blisko, wystarczyłoby żebym przechylił się przez stół i dotknął jej włosów, pogładził twarz. Czy dotarłoby do nich, że to więcej niż opowieść? Więcej niż wszystko, co mogę im zrelacjonować z wizyty u umrzyków? Proponowałem w zamian inne opowieści, ale nie dawali się dłużej zwodzić. Chcieli tej jednej. Może nawet sądzili, że zmyślam – ale tak bardzo chcieli wierzyć. Żywy wśród umarłych, a ci nie zdołali go zatrzymać wśród siebie. Odwiedził ich tylko na chwilę, dowiedział się wszystkiego, co było mu potrzebne i ruszył dalej. Nie byli przerażeni – mimo, że chodziło o zmarłych. Nie obudziło w nich to wszystko podziwu – tego okazali mi już i tak zbyt wiele. Śmiali się. Nie mogli powstrzymać rozbawienia na myśl, że wystrychnąłem martwych na dudka.

„Ciężkim twój powrót uczyni bóg” – to jeden z cieni, nie pamiętam już konkretnie który, tak trudno było ich od siebie rozróżnić. Byli jak sen, kiedy tylko znikali sprzed moich oczu, musiałem powtarzać ich słowa, żeby nie zapomnieć. Uciekały z pamięci jak z dziurawego naczynia. Powtarzać jak

swoje własne, biorąc je na własność. Są snem, który nie ma się komu przyśnić. Opowieścią, którą dawno przestano już sobie powtarzać. Pochylali się nad bruzdą wypełnioną krwią, chleptali łapczywie. W tamtej chwili zrobiliby dla mnie wszystko, jak sieroty pragnące tylko tego, bym je przygarnął, zabrał ze sobą. Albo przynajmniej powstał jeszcze przez moment przed nimi, niech tańczą dookoła mnie, niech jęczą i zawodzą – tak długo czekali, aż ktoś ich wreszcie usłyszy. Popatrzy. Nie chodziło im o litość, nie było ważne co myślę na ich temat, liczyły się tylko moje oczy. Cierpienie, którego nikt nie widzi mnoży się w nieskończoność. Włosy, których nie można wyrwać z głowy, bo rozplývają się pod pierwszym dotykem. Czoło, nie chcące się rozbić o najtwardszy z gładów. Byle lekki podmuch rozwiewa ich postać, wracają potem do siebie, przybierają pierwotną postać jak więzień, który uciekł, ale nie ma dokąd iść i puka do celi, prosi by wpuścić go z powrotem. Oni sami są swoją celą.

„Ciężki twój powrót uczyni bóg”. Ale ten ciężar był skądinąd. Po raz pierwszy od dawna nic mnie nie bolało, byłem bezpieczny, otoczony ludźmi, którzy mnie podziwiają i są gotowi pomagać mi we wszystkim, o co ich tylko poproszę. Żaden potwór nie zjada moich towarzyszy, nie płynę samotnie łodzią podczas sztormu. Feakowie przyjęli mnie jak bohatera. Ich wyspa była baśnią, cudownym snem. Więc dlaczego wodząc po ich rozweselonych twarzach wzrokiem, czułem ścisk w gardle i ból kolan, marzyłem tylko o tym, by uciec?

Zacząłem wtedy rozumieć czym jest sumienie: eksplodującym w głowie i żołądku „nie pozwalam”. Głosem, który powtarza w kółko te same dwa, trzy zdania, ale tak, że za każdym razem brzmią one głośniejsz i stają się coraz bardziej wyraźne. „Mogłeś oszukiwać ludzi, grać na nosie potworom, porzucać nimfy, które wcześniej w sobie rozkochales. Ale nie wolno ci zdradzać umarłych”.

Nauzykaa patrzyła promieniejącymi oczami, też chciała słuchać; jej jednej mógłbym opowiadać. Po cichu, w ciemności, szeptem. A na koniec pocałowałbym ją, objął – a ona zrozumiałaby, że to nie zachłanność, tylko puenta. Tej historii nie dało się inaczej domknąć, niż robiąc to, czego oni nie są w stanie. Pocałowałbym ją jak matkę, której cień rozprasał się w moich objęciach. Uściskałbym jak żołnierza, który niepochowany, błąkał się z mojej winy. Jakbym spłacał dług wobec każdego z cieni, które przesunęły się przede mną tamtego rana.

Każde słowo na ich temat jest zdradą, kpina z ich cierpienia. O tych sprawach w ogóle nie można mówić na głos, nie do więcej niż jednego człowieka. Tak nie wolno, choć nie wiedziałem, dlaczego. Docierało to do mnie dopiero w trakcie opowieści. Rozumiałem moją zdradę tym lepiej, im dalej brnąłem w głąb niej.

Patrzyłem na stoły, przy których siedzieli. Na to wszystko, co się na nich znajdowało. Przynajmniej wiedziałem już jak trzeba zacząć.

Od dołu szerokiego na łokieć wzdłuż i wszerz. Mieszanki z miodu i mleka, słodkiego wina i wody, posypanej mąką. Gęstej mazi zmieszanej ze świeżo rozoraną ziemią. A potem czarnej krwi owcy, wyciekającej z jej krtani i dymiącej zaraz po spotkaniu z ziemią. Wszystkie te szczegóły wychwytywali łąpczywie, podnosząc co chwilę kielich. Ich usta nie przestawały się ruszać. Mielić pokarmu, wydawać z siebie wymienianych szeptem uwag do mojej opowieści.

Staralem się, by mój głos był jak najbardziej przezroczysty. Jakbym odczytywał mowę pogrzebową. Ale to tylko zwielokrotniało rozbawienie moich słuchaczy. Słowo „umrzyk” krążyło wokół moich uszu jak natrętna mucha. „Mów dalej, jeszcze, chcemy więcej!” – krzyczeli bryzgając znajdującymi się w ich ustach resztkami jedzenia. Byli tacy żałośni w swoim zadowoleniu. Trwała już czwarta godzina kolacji, języki zaczęły się rozwiązywać, zaczynały się te niby - przypadkowe muśnięcia ciał pod stołami. Chciwe spojrzenia. Byli szczęśliwi, nie mogłem im tego wybaczyć. Powstrzymałem się, by nie spojrzeć na Nauzykaę. Reszta mnie nie interesowała, ale gdyby ona też dołączyła do tego korowodu, jeśli jej ciało również zaczęło brać górę nad wolą, odczułbym straszny zawód. Zabrakłoby mi sił, nie dałbym rady dokończyć opowieści.

Spieszyłem się więc, mówiłem o mojej matce – tu sprawiali nawet wrażenie nieco wzruszonych; o Achillesie, o Tantalu i Syzyfie. Coraz więcej imion, coraz krótsze opisy spotkań. Spieszyłem się, chciałem już wyjść na zewnątrz. Wiedziałem już co robię. Byłem jak schwytyany spiskowiec, który spanikował i sypie właśnie wszystkich swoich towarzyszy. Wymienia imiona, pseudonimy, adresy. Wydawało mu się, że ci, którzy go schwytali chcą jego dobra – byli dla niego mili, nakarmili go i ubrali; zapewniali, że są mu przyjaciółmi. A on dał się podejść jak dziecko. I teraz, kiedy ostatnie zdania wypowiadał już patrząc w podłogę, wiedział już co zrobił. Opowiedział o cierpieniu, któremu nie można ulżyć, które nie będzie miało końca. A zrobił to wobec ludzi, którzy są szczęśliwi, nie domyślają się – i nigdy nie będą w stanie tego zrobić – jak to jest „prawie nie być”. Nie móc dotknąć, pocałować, nawet przemówić czy zajęć.

Śmierć jest przystąpieniem do tajnego sprzysiężenia. Najgłębiej zakonspirowanym, doskonale ukrytym przed oczami żywych. Dopuścili mnie do niego. Włączyli na moment w swoje tajemnice, pozwolili być wśród nich. A ja ich wydałem na pastwę rehotu.

Muszę stąd uciec, ci ludzie są zbyt szczęśliwi. Nie wiedzą co to śmierć; nigdzie nie jest tak trudno o tę wiedzę jak na wyspach. Im tutaj wydaje się, że ludzie po prostu spomiędzy nich odpływają, że jest jakiś drugi brzeg.

Muszę stąd uciec. Muszę wrócić. Na Itace czekają mnie nie tylko bliscy, ale też ona. Nie umrę, dopóki tam nie dotrę. Tylko tam po mnie przyjdzie. W żaden inny sposób nie zdołam naprawić dzisiejszej zdrady. Umarli wybaczą mi tylko, jeśli do nich dołączę. I tym razem, zostanę na zawsze.

*Jan Maciejewski*

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej